

WALERY PRZYBOROWSKI.

CZERWONA MARA

Powieść z dnia wczorajszego.

20)

Te ruchy, to ukrywanie twarzy wzbudziły podejrzenie w Antku, a widok przewieszanej przez plecy torby podróźnej, pękato wypchanej, kazał mu przypuszczać, że tam zapewne mieści się posąg Anielki.

Począł się więc pilnie przypatrywać nowoprzybytemu i niebawem nabył przekonania, że to jest Jasiński. Ta myśl, że ma przed sobą złodniarza, który narodziny Rzeczypospolitej splamił haniebnie, człowieka, który skalał świętą, wypieszczoną w dniu gich godzinach rozmyślań, ideę, złodzieja który skradł pieniądze Anielki, który ją samą porwał i może na niej bezecnego dopuścić się gwałtu, obudziła w zapalnym temperamentcie Antka gniew szalony. Zapomniał o swej chęci ocalenia Jasińskiego, zapomniał o tem, że bądź co bądź, będzie to zawsze zbrodnia, zawsze przestępstwo przeciw odwiecznemu prawu ludzkości: nie zabijaj! — ale zaślepiony chęcią pomsty na tym niecnym, rzucił się ku niemu, i w chwili gdy Jasiński z biletem oddalił się od kasy, schwycił go za rękaw od palta i syknął:

— Stój pan, nie możesz odjechać!

Jasińskiemu nagle krew uderzyła do twarzy, potem zbladł jak ściana i przez chwilę miał taką minę, jakby nie poznawał Antka, ale widocznie po nagłym, błyskawicznym namyśle, doszedł do przekonania, że udawanie to na nic się nie zda, bo uśmiechnął się i zawołał:

— A! to pan Antoni! Co pan tu robisz? czy także odjeżdżasz?

— Nie, ja nie uciekam podle z placówki jak pan. Ale tu nie o to idzie. Gdzie jest panna Aniela?

— Skądże ja mogę wiedzieć? Zapewne w Górach.

— Pan wiesz, że jej tam niema. Dlaczego kłamiesz?

Ozarne oczy Jasińskiego iskrzyły się z pod ciemnych okularów jak dwa karbunkuly, blade wargi, zmysłowo grube i widoczne teraz po ogoleniu wąsów, trzęsły mu się febrycznie, a ręka lewa sięgnęła do kieszeni paltota. Widocznie ogarniał go szalony gniew, ale pohamował się jeszcze, wydobyl z kieszeni zegarek i rzekł:

— Teraz jest jedenasta. Zaręczam panu słowem honoru, że panna Aniela o tej porze jest w Górach.

— Nie wierzę twojemu słowu zdrajco, bandyto!

I w uniesieniu gwałtownem Antek chwycił za klapy od paltota Jasińskiego i trząsł nim i szarpał, sycząc:

— Złodzieju, rabusiu!

Jasiński cofnął się o krok w tył, silnie odepchnął Antka i ręka jego sięgnęła do kieszeni paltota, ale nie miał już czasu wydobyć z niej rewolweru, bo dwaj „towarzysze“, przypatrujący się od paru chwil tej scenie, zbliżyli się i jeden z nich zapytał Antka:

— To ten?

— Ten! — odrzekł Wiśniewski, zapominając o swych skrupułach, falą gniewu onieprzytomniony.

Rozległ się głuchy trzask, potem huk i Jasiński padł z roztrzaskaną głową, rzucając się przez parę sekund po ziemi rozpaczliwie, obryzgując krwią i mózgiem ubranie Antka. Ten skamieniał, a po chwili ze strasliwym krzykiem schwycił się za głowę, i jęcząc począł uciekać pędem, nie zatrzymywany przez nikogo.

I nikt nie myślał go zatrzymywać. Huk strzału i widok apadającego i krwią zlanego człowieka, wywołał niesłychany wśród zebranego tłumu popłoch. Wszystko co żyło, z krzykiem, jękiem, wrzaskiem nieludzkim poczęło uciekać, przewracając się, tłocząc, gubiąc tobołki, dusząc się we drzwiach, przewracając, depcząc wzajemnie. Było coś strasznego w tym zamęcie oszalałego tłumu ludzkiego. Drzwi nie mogły pomieścić uciekających, więc poczęto się bić, spychać, szarpać i niebawem utworzyła się góra skłębionych ciał ludzkich, z pośród której dawały się słyszeć jęki rozpaczliwe, przekleństw, wycie dzikie... Żadna siła nie była w stanie w tej zbitej masie głów, nóg i rąk ludzkich, zaprowadzić porządku.

Nie myśleli o tem dwaj „towarzysze“, którzy wykonali wyrok na Jasińskim, i niepotrzebnie jeden z nich trzymał wymierzony ku tłumowi rewolwer, bo nikt nie miał zamiaru i możności sprzeciwiania

im się w czemkolwiek. Byli oni zupełnie panami położenia, z czego skorzystał ten, który strzelił do Jasińskiego, i podczas gdy jego towarzyszy trzymał brauningiem w respekcie każdego, ktoby chciał się pokusić o ich zatrzymanie, on zdjął z trupa torbę podróźną, przeszukał mu kieszenie, zabrał pugilares dobrze wypchany i całą pakę papierów i listów. Dokonawszy tego, obaj najspokojniej wyszli i niebawem zniknęli z oczów przetrzonego tłumu.

Tymczasem Antek biegł jak szalony, drogą do Gór. Zgubił gdzieś kapelusz, nieodstępną swą palkę porzucił i trzymając się churacz za głowę, pędził na przelaj przez pola, szarpany strasliwymi wyrzutami sumienia, wołając nieustannie:

— Mordercą jestem! mordercą! Jak Judasz wydałem go na śmierć!

Co chwila zatrzymywał się, zataczał jak pijany i trząsł się cały ze zgrozy, przypominając sobie straszną scenę zabójstwa Jasińskiego. Zapomniał o tem, że to był zdrajca, może szpieg i prowokator, bandyta i rabuś, człowiek nakonec, który mu porwał narzeczoną i Bóg wie, co z nią zrobił, a tylko pamiętał o tem, że go wskazał dom „towarzyszom“ i że tym sposobem stał się bezpośrednią przyczyną jego śmierci. Ciągłe mu w oczach stał ten trup z krwawą głową, drgający resztkami życia, z twarzą bladą i śmiertelnym grymasem wykrzywioną, te oczy czarne, widoczne doskonale, bo ciemne okulary spadły mu były, oczy szeroko rozwarte, z okropnym wyrazem przerażenia patrzące na Antka i zdające się mówić:

— Tyś mię zabił!

Więc Antek chwycił się znowu za głowę i biegł na przelaj przez pola, jakby chciał uciec od prześladowającego go widma; niekiedy zdawało mu się, że Jasiński go ściga, że strzaskana kulą głowa jego strasliwie trzeszczy i chwieje się z głośnym zgrzytem. Wtedy uciekał, co miał sił, aż znużony nadzwyczajnym biegiem w skwarny dzień letni, zatrzymał się dysząc ciężko i usiłując oprzytomnieć.

— To być nie może, żeby on mię gonił. Wszak padł zabity. Widziałem to doskonale, a kto raz umarł, więcej nie wstanie. To halucynacja, to wizja! Cóż u diabła, czym rozum stracił?

I przecierał twarz rękami i oglądał się dokoła siebie. Przed nim leżała szeroka, lekko pogarbiona płaszczyna, pokryta dojrzewającym zbożem, ozłocona gorącym słońcem lipcowym. Wielka cisza tu leżała, tylko przepiórki ćwierkały i wrzało bujne życie natury. Zboża pachniały i falowały lekko, szedł jakiś szmer nieuchwytny, który zdawałoby się, powinien być kojąco oddziaływać na udrczoną duszę Antka, a jednakże stało się przeciwnie. Ten szmer całego przyrodzenia szeptał mu w ucho: morderco! kacie! zbrodniarzu! Zapomniałeś, że prawo Boskie i ludzkie mówi: nie zabijaj! a ty zabiłeś człowieka.

Więc zrywał się znowu do szalonego biegu i leciał tak przez pola z gołą głową, z włosom wzbudzonym, zatykając obu rękami uszy, żeby nie słyszeć tych tajemniczych szeptów i szmerów, ale one ciągle mu brzmiały ze strasliwą siłą. Kilka razy się przewrócił, podnosił się ciężko, oglądał dokoła i w każdym krzaku, w każdej samotnej gruszy polnej widział bladą, skrzywioną, śmiertelnie przerażoną twarz Jasińskiego.

Wreszcie nic już nie wiedział, co się z nim dzieje. Stracił świadomość miejsca i celu, do którego dążył. Biegł ciągle zdyszany, spocony, jęczący i nakonec znalazł się na dziedzińcu dworu w Górach i tu padł nieprzytomny.

Zobaczono go, podniesiono, ale się rzucał, bił, gadał coś bez ładu i składu. Zaniesiony do pokoju okazywał wszystkie oznaki szalonego lub ciężko chorego człowieka. Na szczęście doktor, wezwany rano do Gór, był jeszcze tutaj i zbadawszy Antka, oznajmił Stanisławowi i ciężko strapionej Anielce, że jej narzeczony ma gwałtowne zapalenie mózgu.

ROZDZIAŁ XXIX.

Wieczorem, o zmroku w napół zrujnowanym dworze w Górach, pełnym smutku i utrapień, zjawiał się stary Marcin Jabłoński i zażądał widzenia się z „panem dziedzicem“, bo tak już nazywano Stanisława. Jabłoński należał do rady naczelnej nowej Rzeczypospolitej: stanowił w niej żywił umiarkowany, a choć inni krzywo na niego patrzyli, mógł jednak wiedzieć dokładnie o wszystkim, co się tam dzieje i robi. Dlatego Stanisław, acz ciężko zmartwiony przejściami ostatnich dni i chorobą Antka, którego polubił i cenil w nim czystość charakteru, skwapliwie poprosił pana Marcina do jednego z pokoiów, ocalałych od rabunku.

Jabłoński wszedłszy, starannie pozamykał wszyst-

kie drzwi i zdziwionemu tem jego postępowaniem Stanisławowi, rzekł:

— Nie trzeba, żeby nas kto słyszał. To co mam panu powiedzieć jest bardzo ważne, i lepiej, żeby nikt o tem nie wiedział.

Wiadomości jakie przyniósł w rzeczy samej były ważne i niewesołe. Opowiedział więc, że w papierach, przyniesionych przez „towarzyszy“, którzy na stacyi kolei zastrzelili Jasińskiego, znajdował się najprzód telegram, zaadresowany do Warszawy, do „jakiegoś“ jak się wyraził, pana Krystyana Millera.

— Telegramu tego — mówił Jabłoński — jak ja przypuszczam, nie mógł Jasiński wysłać ze stacyi kolei w X bo druty są przzerwane, i dlatego miał go przy sobie, zapewne w zamiarze nadania go na innej stacyi.

— Ale coż było w tym telegramie? — zapytał Stanisław.

— Zaraz go panu pokażę, tylko wprzód może pan mi objaśni co do owego Krystyana Millera. Czy pan nie wie, kto to taki?

— Wiem. To jest mąż mojej ciotki Filomeny i jest kupcem w Warszawie. Przez parę tygodni bawił tu u mnie w Górach i odjechał przedwczoraj.

— Aha! więc to także kuzyn Jasińskiego?

— Jego wuj. Ale dlaczego mię pan pyta o to?

— Dlatego, że ja tu jestem u pana niejako w misji urzędowej. Wysłano mię z rady, abym informacji u pana zasięgnął. Chciano kogo innego z tem delegować, człowieka prostego, szorstkiego i czerwonego socyała, który byłby sobie postępował brutalnie. Nie chcąc pana narażać na nieprzyjemności zetknięcia się z takim człowiekiem, wyjednalem, że mnie z tem wysłano.

— Dziękuję panu za to. Ale coż ten telegram?

— Oto jest.

To mówiąc Jabłoński wydobyl kartkę błękitnego listowego papieru z wydrukowanym na niej tytułem: „Administracja dominium Gór“, i podał Stanisławowi. Ten wyczytał na niej co następuje:

„Warszawa, Senatorska 16. Krystyan Miller. Wszystkiego 30 tysięcy. Przyjeżdżam jutro. Jasiński“.

— Czy pan może wytłumaczyć nam, co to znaczy? — zapytał Jabłoński.

Stanisław zamyślił się i nie zaraz odpowiedział na to pytanie, jakkolwiek treść telegramu była dla niego jasną. Nie ulegało wątpliwości, że było to doniesienie o zrabowanych w Górach pieniądzech, tylko Jasiński i tym razem zamierzał oszukać swego współnika, donosząc, że zrabował 30 nie 50 tysięcy, jak było w rzeczy samej. Podejrzenie więc stryjszka Józefa, że zamiar napadu na Góry, był uplanowany na wspólnie z Millerem i dlatego to ten ostatni tak szybko wyjechał zaraz po otwarciu testamentu, żeby nie być obecnym przy napadzie i wszelkie podejrzenie od siebie odwrócić. Nie przypuszczał tylko, że Jasiński padnie ofiarą swej niecnej zdrady, że go tenże oszuka, i że telegram ten wpadnie w ręce Stanisława.

— Co za ohydny stek zbrodniarzy i złodziei! — myślał sobie Stanisław.

Tymczasem Jabłoński nalegał, by mu Stanisław wyjaśnił, jeśli może, zagadkową treść tego telegramu. Ale Stanisław wahał się; ostatecznie tak Miller jak i Jasiński byli jego kuzynami, a brudy rodzinne najlepiej prac w domu, po co obcy mają o tem wiedzieć? Dlatego milczał i bił się z myślami. Zauważył to Jabłoński i rzekł:

— Widzę, że się pan waha, a przekonany jestem, że pan, jako blizki kuzyn obu tych panów i znający sprawy rodzinne, wie doskonale, co znaczy ten telegram. Radzę panu, niech mi pan powie wszystko, a wtedy pomyślimy co z tym fantem zrobić, czy donieść radzie w X., czy też rzecz zamazać. Daję panu słowo uczciwego człowieka, że powiem tylko to, co pan będziesz chciał, ale muszę coś powiedzieć. Gdybym milczał i tłumaczył się niewiadomością, nie uwierzą mi, bo i tak mają mię w podejrzeniu i przyślą kogo innego, który gotów będzie posunąć się do ostateczności.

— Dobrze więc — odrzekł Stanisław, powiem panu wszystko.

Więc opowiedział historię całą sukcesyi po stryju Teodorze, że z tej sukcesyi Miller właściwie nic nie otrzymał, tylko jego żona procent, że Jasiński także uważał się za pokrzywdzonego, otrzymałszy mniej od innych, że zatem z Millerem jak się zdaje ułożyli na spółkę plan obrabowania innych spadkobierców. Pod pozorem wywłaszczenia na korzyść partii, zebrał Jasiński bandę łotrów, napadł na Góry i zrabował 50 tysięcy rubli i o tem właśnie zatelegrafować chciał Millerowi.

— Ależ tu jest mowa o trzydziestu, a nie o pięćdziesięciu tysiącach — zauważył Jabłoński.